

KRZYSZTOF R. APT

ALINA MARGOLIS I STAN WOJENNY

W życiu nie spotkałem osoby tak bezinteresownie oddanej sprawie innych jak Alina. Łączy mnie z nią dość krótki ale dramatyczny okres pierwszych dwóch lat stanu wojennego. O szczegółach wie mało osób. Teraz, po odejściu Aliny, postanowiłem o tym napisać by uświadomić innym o jej zasługach.

Muszę zacząć o sobie. Stan wojenny zastał mnie w Paryżu, dokąd przeprowadziłem się parę miesięcy wcześniej z Holandii. 17go grudnia 1981go roku byłem na konferencji prasowej, na której ogłoszono założenie Paryskiego komitetu Solidarności. Parę dni potem spotkałem po raz pierwszy Alinę, w siedzibie komitetu. Elegancko ubrana, od razu uderzyła mnie dobrym wyczuciem sytuacji. W przeciwieństwie do członków Solidarności, którzy przypadkiem znaleźli się w Paryżu i wyglądali na kompletnie zagubionych, Alina od razu wiedziała, że by cokolwiek zdziałać trzeba odpowiednich kontaktów. I sprawnej organizacji.

Reakcja Francuzów na ogłoszenie stanu wojennego przetłumaczyła się na codzienny ciężki worek z pocztą, który przynoszono do komitetu. Praktycznie w każdym liście był czek z wpłatą na konto komitetu, często z lokalnej zbiórki. Po tygodniu stało się jasne, że komitet dysponuje ogromną sumą ponad jednego miliona franków (obecnie ponad 150 tysięcy Euro).

Pieniądzy ciągle przybywało i nie było jasne co z nimi zrobić. Sewek Blumstajn dość szybko rzucił myśl, by zakupić za nie żywność dla internowanych. Niestety, po dwóch tygodniach okazało się, że osoba, której powierzono tę sprawę niczego nie załatwiła. Przyszła kolej na mnie. Pojechałem do Macro, firmy hurtowniczej zaopatrującej do dziś sklepy żywnościowe w wielu krajach Europy Zachodniej. Przyjęto mnie trochę ze zdziwieniem. Bo jak rozmawiać z młodą osobą twierdzącą w średniej jakości francuskim, że ma do dyspozycji parę milionów franków na zakup żywności. Po paru dniach dostałem oferty. Do dzisiaj pamiętam, że w pewnym momencie zamówiłem 17 (siedemnaście) ton pasztetu w puszkach.

Ale co dalej czynić z taką górą żywności? Bez pomocy Aliny takie monstrualne zakupy byłyby zupełnie nieodpowiedzialne. Równoległe z moimi zamówieniami Alina zaczęła tworzyć listę organizacji, które były gotowe wysłać do Polski ciężarówkę z żywnością. Bardzo się tu zasłużył ksiądz Plater z zakonu Palotynów. Wiele transportów zorganizowały i sfinansowały Francuskie związki zawodowe, w szczególności centrala socjalistycznych związków CFDT. Alina przekazywała im informacje dokąd w Polsce mają jechać i kto ich tam przyjmie.

Gdy sprawa ruszyła, byłem z Aliną prawie codziennie na telefonie. Bo albo mnie wysłała do jakiejś firmy, u której zakupiłem ogromne ilości pudeł kartonowych, albo kazała mi gdzieś zadzwonić w ciągu dnia, gdy była zajęta w pracy, by przekazać informację dokąd skierować ciężarówkę, by zapakowano na nie kartony z żywnością, i sprawdzić, że rzeczywiście transport ruszył następnego dnia do Polski. Tak że czytelniku, jeśli w czasie stanu wojennego byłeś internowany i jadłeś w obozie francuski pasztet, jest duża szansa, że pochodził on z transportu załatwionego przez Alinę.

Po paru tygodniach załatwiania transportów Alina dała mi namiary na kierowcę z CFDT, który zgodził się wziąć na próbę parę puszek farby do maszyn offsetowych, które ukryliśmy w paczkach z żywnością. Przez komitet Solidarności dostałem adres plebanii w Polsce, której ksiądz zgodził się odebrać ten transport i przekazać puszki lokalnym wysłannikom Solidarności. Operacja się udała, co było wielkim wydarzeniem, bo dzięki niej okazało się, że granice Polski, do której nie można było zadzwonić i skąd listy przychodziły ze stemplem ‘Ocenzurowane’, nie są szczelne. Równoległe zaczęły przychodzić z Polski zamówienia z podziemnych komitetów Solidarności. Wkrótce zaczęliśmy przysyłać w transportach farbę, papier, miniaturowe kamery fotograficzne do fotografowania dokumentów, i w końcu, na zamówienia z Krakowa, Warszawy i Wrocławia, tranzystory do radiostacji.

Pewnego razu Alina wyciągnęła mnie na przyjęcie do założyciela *Médecins sans frontières* (Lekarze bez granic), obecnie Francuskiego ministra spraw zagranicznych, Bernarda Kouchnera. Celem było uzyskać jego zgodę na wysłanie przez jego organizację ciężarówek do Polski. Rozmowa z Kouchnerem w jego eleganckim mieszkaniu z widokiem na Ogrody Luksemburskie zajęła raptem minutę, ale musieliśmy uprzejmie poczekać z dwie godziny, by móc się wymknąć i przetłumaczyć następnego dnia jego *Bien sûr* na strumień telefonów.

Organizacja szmuglu do Polski była ogromnie czasochłonnym zajęciem, tak że dosyć szybko przekazałem tę sprawę komuś innemu, mianowicie Mirkowi Chojeckiemu. Sam skupiłem się na zakupach. W którymś momencie Sewek dostał zamówienie od Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności na sieć radiostacji i walkie-talkie pokrywającej cały kraj na przypadek strajku generalnego. Było ono tak ogromne, że uznał je za nierealne. Przekonałem go, że to zamówienie jest do zrealizowania.

Okazało się, że była to najbardziej skomplikowana i kosztowna sprawa jaką w życiu załatwiałem. Nie muszę chyba tłumaczyć, że nikt z nas nie znał się na takim sprzęcie. Koszty zamówienia wynosiły około 300 tysięcy dolarów. Pierwszy kontakt otrzymałem od Andrzeja Mietkowskiego. Zasugerował bym się zwrócić do Marka Haltera, pisarza, który zorganizował w Afganistanie radiostacje nadające programy po rosyjsku dla sowieckich żołnierzy okupujących kraj. Halter przekazał mi adres swojego dostawcy, na południu Francji. Poprzez tę firmę załatwiłem większość sprzętu. Duża część pochodziła z Japonii. Stamtąd była przelana do filii tej firmy w Szwajcarii, skąd bez cła (Komitet otrzymał zwolnienie z cła na towary, które według jego mniemania były we Francji tylko w tranzycie) do Francji. Transport odebrałem pod Paryżem z urzędu celnego, skąd przewiozłem go wynajętą furgonetką do składowni udostępnionej dla nas przez jeden z lokalnych komitetów CFDT. Po jakimś czasie przesyłałem całość statkiem do Malmö w Szwecji. Tam odebrał ten transport Marian Kaleta i po paru tygodniach wsadził go do ciężarówki jadącej promem do Świnoujścia. Wszystko się udało. Tyle tylko, że pierwsze dwa ‘scannery’ wpadły wkrótce po odbiorze, w czasie prób łączności w Gdańsku, a strajk generalny nigdy się nie odbył.

Wróćmy do Aliny. Intensywne kontakty, które z nią miałem szybko mi uświadomiły, że nie ma ona właściwie życia prywatnego. Wakacje spędzała na

podróżach zorganizowanych przez *Médecins sans frontières*, za ‘moich’ czasów do Nikaragui i Czadu, by nieść tam w niebezpiecznych warunkach pomoc medyczną. Czas po pracy miała w tamtym okresie wypełniony organizacją pomocy dla Polski, dla której poświęciła każdą wolną chwilę.

Nic dziwnego, że gdy postanowiliśmy pod koniec 82go roku założyć stowarzyszenie, by móc wydawać Zeszyty, i gdy trzeba było znaleźć dyrektora stowarzyszenia, poprosiliśmy Alinę, by objęła tę funkcję. Sprawa była delikatna. W praktyce dyrektor nie musiał się niczym zajmować, ale był odpowiedzialny prawnie za stowarzyszenie, czyli za pracę i finanse prowadzone przez innych. Alina, jak na nią przystało, przez chwilę się nie zawahała by wziąć na siebie odpowiedzialność za innych. Na dodatek pomagała nam przekazując od czasu do czasu swoje cenne kontakty we Francji.

Współpracując z Aliną miałem wrażenie, że jej nieograniczone oddanie sprawie innych, w szczególności kwestii chorych dzieci, było jej sposobem na dojście do siebie po przeżyciu strasznych czasów okupacji w Warszawskim gettcie i Warszawskim Powstaniu. Być może uznała, że przeżyła wojnę po to by nieść pomoc innym. I taka pozostanie mi Alina w mojej pamięci: przekonana, że nie ma ważniejszej rzeczy niż niesienie pomocy jej potrzebującym, i gotowa poświęcić każdą chwilę by spłacić dług za swoje życie cudem ocalone przez innych.